Nr. 47. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 21. Listopada 1846.*

Podróż z Teb do półwyspu Sinai. — Jeszcze dwa ustępy z „Dzieciątka Jezus.“ — Uboga kuzynka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie prenumeracyjne.



Studnia Bir-Ambar.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

Skic *Maxa Weidenbach.*

Podczas gdy się karawana znajdowała w Karnaku, wiosce na zgliszczach wschodnich Teb odbudowanéj, towarzyszyłem professorowi Lepsius w podróży do półwyspu Sinai, inni zaś członkowie, jako architekt Erbkam, malarze Georgi i mój brat Ernst, zostali się, w celu zdjęcia najważniejszych miejsc z okolicy. Szczególniéj godne uwagi były z téj strony czerwonego morza: stare ułamki kamienne z wielu napisami hieroglificznemi na drodze z Keneh do Kzeir, Kozeir, i z tamtéj strony: Wadi Makateb z mnogiemi tak zwanemi *sinajskiemi* na skałach napisami — Wadi Maghana ze staroegipskiemi obrazami, ze skał ciosanemi, i góra Sarâbit el Châdem, nosząca na grzbiecie swoim egipskie ruiny.

3. Marca opuściliśmy z 5 sługami, podzieleni na dwóch małych okrętach, Teby, i płynęliśmy do sławnego miasta Keneh, położonego na prawym brzegu Nilu, do któregośmy w drugim dniu po 18-godzinowéj podróży zawinęli. Na brzegu było mnóstwo ludzi krzątających się około przygotowań na przyjęcie Baszy Kebîr, wielkiego Baszy, Mohameda Alego. Tamtejszy Madir, naczelny prezes prowincyi, zamienił wygodne w mieście pomieszkanie na niewygodny przy Nilu namiot, ażeby szybko płynącemu despocie na parowym statku nie dać oczekiwać na czołobitność mu się należącą. Po wypakowaniu naszych rzeczy odesłano okręty. Said Mohamed, kupiec i angielski tamże agent, przyjął nas po przyjacielsku w dom swój, i był nam przy naszém kupnie wielce pomocnym. Kupno to składało się mianowicie z Buksmatu, chlebów dwa razy pieczonych z mąki pszennéj, z ryżu, soczewicy, kawy, cukru i naczyń do wody, które są daleko lepsze od kubłów i worków skórzanych. Robią je tylko tutaj i w Kairze. Najęto 15 wielbłądów od Arabów, nie zaś od Fellahîn, chłopów, każdego po 4½ piastru — 9 — 9⅓ śgr. dziennie. Oprócz poganiaczy wielbłądów przyjęto dowódzcę, którego nazywano Szech Selîm. Ten jednakże był nam tylko przydatnym aż do Gebel Dochôn, jak to niżéj zobaczymy. Z Heneh posłano do Kzeir posłańca, który tamże miał nająć okręt, i posłać go do Gebel es Saît naprzeciwko Sinai, gdzieśmy go do przewozu użyć mieli. Po tych i wielu innych przygotowaniach zbliżył się wreście dzień naszego wychodu z Heneh, t. j. 6. Marca; lecz niepodobno było wyruszyć w dżdżystych godzinach porannych, i dopiéro około południa, po usunięciu wielu przeszkód, wyruszyliśmy z miejsca. Nigdzie, jak sądzę, udanie się w podróż nie jest podróżującemu uciążliwszém, jak na wschodzie; musi się koniecznie poddać wrodzonéj wschodnim mieszkańcom flegmie. Ta bowiem nie da się pokonać przez energią, lecz tylko przez cierpliwość. Że zaś cierpliwość człowieka niekiedy opuszcza, a niecierpliwość aż do gniewu wzrasta, i że w takiém położeniu puszczając gniewowi wodze, często się ludziom złorzeczy, częściéj jeszcze batogami okłada, nie powinno nikogo dziwić; albowiem wschodni mieszkańcy tylko za pomocą batogów powodować się dadzą. Słowa napomnienia byłyby bezowocnemi. Jeśliby im się kto pokazał słabym i bojaźliwym, może być przekonanym, że go wcale poważać nie będą, i w każdym razie tak sobie z nim postąpią, jak się z podobnym człowiekiem zwykle postępuje. Ich lenistwo, wracając do niego, przechodzi granice; charakteryzuje się bardzo dobitnie w ich wysłowieniu się przy zaczęciu każdéj roboty, którą zwykle na jutro odkładają i każdego jutrem pocieszają, mówiąc: *bukra, bukra iusch Allah!* „jutro, jutro jeśli Bóg pozwoli.“ — Podróż w pierwszym dniu trwała tylko 3 godziny aż do studni Bir Ambar, mającéj wiele bardzo dobréj wody, która się znajduje przy brzegu pustyni na południe od Heneh wśród gaju z drzew palmowych i akacyj. Zaraz obok stoi piękny gmach z 20 kopułami, który przed 30 laty Ibrahim Basza kazał wybudować dla wygody pielgrzymów, podróżujących do Mekki, gdzieśmy przenocowali. Na drugi dzień wyruszyliśmy rano o 6½, i zwróciwszy pochód nasz ku wschodowi, w pustynią, ciągnęliśmy pomiędzy pagórkami piaszczystemi; o 11. doszliśmy do traktu wiodącego z Kuft — Koptos — do Kzeir. Jeżdzcy, pomiędzy którymi i ja się znajdowałem, wyjechawszy naprzód, przybyli na stacyą Lekitę już o 1. godzinie; znajduje się tam kilka studzień i domów, lecz ani jednego drzewa. Zastaliśmy tutaj około 1000 wielbłądów, należących do rozmaitych karawan. Trakt ten z Keneh do Kzeir jest po trakcie z Kairu do Suez najludniejszy w całym Egipcie. Napotkaliśmy

wielu Hadyszów, pielgrzymujących do Mekki, którzy, jako prawowierni pełniąc swą powinność, Mekkę zwiedzili; zajmującą było rzeczą patrzeć na rozmaitość tych gromad, pomiędzy któremi kobiety i dzieci się znajdowały, jak wszystko pomieszane do jednego zmierzało celu. Jeszcze tego samego dnia opuściliśmy Lekitę i jechaliśmy w nocy przy świetle gwiazd 3 godziny; przy rzymskiéj stacyi przenocowaliśmy. Podobnych stacyj widzieliśmy z Kzeir do Keneh w ogóle 7, wśród których były studnie po większéj części piaskiem zasypane. Oprócz tych budynków, na stacye przeznaczonych, można jeszcze widzieć na górach wzdłuż drogi przez Rzymian zbudowane wieże, służące im zapewne za drogoskazy. O ile to wygodniéj, przyjemniéj i bezpieczniéj przebywano wtenczas te pustynie w porównaniu do teraz! Lecz można poznać po trakcie pomiędzy Kairem a Suez, że, gdyby pustynie te w europejskie przeszły ręce, znówby również dogodnie urządzonemi być mogły; trzebaby tylko, żeby podróże te mniéj kosztu wymagały, jak dotychczas; teraz bowiem towarzystwo angielskie, które się podróżującymi zajmuje, okropnie ich zdziera.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jeszcze dwa ustępy z „Dzieciątka Jezus.“

Józef z Maryą psalmy odmawiali,
A wtém usłyszą dziwny hałas w dali,
I z za pagórka gwałtownie wypada
Rozjadła zwierząt drapieżnych gromada.
Zdejmie się strachem najświętsza rodzina,
Matka na ręce pochwyciła syna.
Ale zaledwie z usteczek dziecięcia
Słodkie i ciche słóweczko wychodzi,
Natychmiast wściekłość każdego źwierzęcia
W zdumiewający sposób się łagodzi:
I te co pożréć pragnęły przed chwilą,
Teraz pokornie łaszą się i milą.
Jak gdyby pastérz w pośród owiec stada,
Rajskie pachole wśród nich się przechadza:
Bo téj dziecinki, jak prorok powiada,
Nad strasznym zwiérzem rozciąga się władza:
I gdy skinęło swą drobniutką dłonią,
Wnet różną stroną źwierzęta pogonią.
Lew tylko jeden został przy rodzinie.
Rzekłbyś, że równie moc ciemności zginie,
Choć żądz potwory podobnie obudzi
Przeciwko Panu w sercu ślepych ludzi.
W słowie miłości baranka obrona,
Lecz wszystkich wrogów to słowo pokona.
Matka na synka patrząc zamyślona,
Przebiera ręką u piękněj lwa grzywy,
Który z radości liże święte nogi.
W milczeniu Józef spoglądał sędziwy,
Siada w igraszce na lwa chłopczyk drogi,
A ten szczęśliwie pokornie mu służy.
Wezwał swą matkę znużoną w podróży,
Ta wierząc w dziecko najchętniéj to czyni:
I tak jechali na królu pustyni.
Wkrótce lew zboczył ze zwyczajnéj strony,
Józef go zwrócić chciał błogosławiony.
Ale do niego rzekła matka błoga; —
— Daj pokój; jemu lepiéj znana droga. —
Po małym czasie ujrzeli o zmroku
Palmę wysmukłą przy wód żywych stoku.
A wielbiąc Boga serdeczną podzięką,
Zaraz weseli przy krynicy brzegu
Stają pod cieniem drzewa do noclegu,
I czystéj wody napili się ręką,
Omywszy z prochu i nogi i lica.
A w téjże chwili ta żywa krynica
Przez łaskę Boga leczącą się czyni,
Dla wszystkich źwierząt w téj całéj pustyni.
Lampart, gazella i lwy dotąd bowiem
Biegną w słabościach pić wodę ze zdrowiem:
Nieraz wędrowców wielbłądy i osły
Stąd uzdrowienie swych cierpień odniosły.

Marya z sakwy chléb podróżny bierze,
Który ma składać całą ich wieczerzę.
Józef rzekł, patrząc na palmę przez chwilę:
— Jakże obficie zrodziły daktyle,
Lecz pod koroną drzewa tak wysoko,
Że nadaremnie nęcą moje oko. —
Wtém strwożył matkę dziwny szelest drzewa,
Już chce uciekać chwyciwszy młodzianka:
Ale gdy spojrzy cudem się zdumiewa:
Wkrąg ich otacza zielona altanka.
Bo się do ziemi drzewo tak zniżyło,
Że urwać owoc ręką można było.

W szczęściu biesiada upłynęła mile:
Rajski młodzianek albo rwał daktyle,
Albo z rąk karmił lwa, co przy altanie
Zwisłego drzewa układł się na spanie.
Wkrótce i całą rodzinę znużoną
Słodki sen przyjął na swe ciche łono.

Tylko co w nocy szary świt się rodził,
Już święta para do drogi się bierze:
Lubém głaskaniem chłopczyk lwa nagrodził,
I matka rajskim wzrokiem żegna źwierzę:
Tak lew pozostał i tęsknie spoglądał,
Jakby rozkazu pójścia z niemi żądał.

Tymczasem dziecię, starzec i dziewica
W rannéj modlitwie trzy podnieśli głosy:
Każdy z nich swoją rzewnością zachwyca,
I każdy płynie tak lubo w niebiosy,
Jak lubo ziemia górne pije rosy.

Czasem po drodze w téj głuchéj przestrzeni
W krzakach tamaryz pięknie się zieleni,
Który skwapliwie młodzianek obziéra,
I po gałązkach chléb pustyni zbiéra:
A te przed wschodem uzbiérane manny
Niesie rodzicom na posiłek ranny.

Już piękny wieczór chylił się do zmroku,
Gdy weszli w ciasny wąwoz i głęboki;
Groźniejszą postać przybrały opoki,
Nagie, strzaskane przedstawiały oku
Jakieś olbrzymów zamki murowane,
Mchem albo krzakiem gdzie niegdzie odziane.
I coraz więcéj przybywało zmroku;
Ściezka szła wązko, a pełna kamieni,
Bo w czasie dżdżystéj zimy jesieni
Służy za łoże bystrego potoku.
A przepaścista w skale rozpadlina
Nieraz tę ścieżkę okropnie przecina.

Biedzi się Józef i Marya w trwodze,
Bo jak iść daléj, jak wieść dziécie boże
Po téj o zmroku niebezpiecznéj drodze,
Kiedy i we dnie z trudnością iść może?
W ciasnym parowie stojąc pełni trwogi,
Troskliwém okiem do koła badali,
Czyby nie było jakiéj innéj drogi:
A wtém przed sobą ujrzą dwóch górali.

Jeden był starszy i czarno zarosły,
Nizki, barczysty, a twarz opalona;
Drugi młodzieniec, lecz wzrostem wyniosły,
A włos mu jasny spadał na ramiona.
Każdy z nich płaszczem krótkim przyodziany,
Na plecach stérczą łuki i kołczany,
W ręku żelazem nabita maczuga,
Szabla z pod płaszcza wyziérała długa:
Słowem, znać było, że w dzikie parowy
Z nadejściem nocy szli na ludzkie łowy.
Maryę trwoga okropna przenika,
Tuli do siebie rajskiego chłopczyka,
Który spokojnie patrząc na tych ludzi,
W tęskne, głębokie wpada zamyślenie;
Zda się ich widok w pacholęciu budzi
Jakieś bolesne i ciężkie wspomnienie.

Tymczasem Józef chociaż nie bez trwogi
Prosi ich kornie o wskazanie drogi.
Starszy w milczeniu wprawną swą zrzenicę
Rzuca na starca i świętą dziewicę.
Sędziwy piastun prośbę znów powtarza,
Góral w szyderczym śmiéchu odpowiada: —
— „Na podobnego tobie wyjdę dziada,
Jeśli każdego mam wodzić nędzarza.“ —

A młodszy czuje, jak się jego dusza
Losem zbłąkanéj rodziny porusza,
Ale obawa szyderstw towarzysza
Tę chęć pomocy tłumi i ucisza:
A tylko oko czułością przejęte
Obrócił rzewnie na pachole święte.
Wtém nagle ujrzał, że dzieciątku z lica
Wynikła jasność, jakby błyskawica.
Wzruszony cudem śmiało góral młody
Prosi ich na noc do swojéj zagrody.
Starszy się śmiejąc rzekł z szyderczą twarzą: —
— „Dobrze, mój Dyzmo; nie małym zapasem
Takie starania pewno cię obdarzą,
Bo przewodnikiem dziadów będziesz z czasem.“ —

I poszedł z lewéj strony u dziewicy;
Jezus rzekł cicho: — „To łotr po lewicy.“ —

Góral ku świętéj przybliżył się matce,
Głosem łagodnym przemówił z pokorą; —
— „Nie chciéj się trwożyć, bo przed nocną porą
Jeszcze staniecie w méj góralskiéj chatce.“ —
Wnet się na lewy bok wąwozu biorą;
W krzakach ukryta ścieżka ich prowadzi,
Co na opokę stromym wężem pnie się;
A wszedłszy na wierzch obaczyli radzi
Kilku chat ognie błyskające w lesie.
Na samym szczycie ta mała osada
Po nad przepaścią wdzięcznie się rozkłada:
Dąb i terebint i blada oliwa,
Jak piękny wianek w koło ją okrywa.
Z cichą modlitwą szła rodzina boska:
Przerwał milczenie jéj przewodnik młody;
— „To, rzekł, w Judei sławna Latrun wioska,
Lecz się nie bójcie przyjąć tu gospody:
Bo u góralów kto będzie w gościnie,
I jeden włosek z głowy mu nie zginie.“ —

Tak przemawiając wprowadza do chatki,
Pokarm gotuje dla znużonych drogą;
Bo oprócz staréj, ociemniałéj matki
Nie było więcéj w lepiance nikogo.
I ledwie goście skończyli wieczerzę,
Wiedzie w komorę, gdzie ich czeka łoże.
Rodzina wielbi miłosierdzie boże,
A sen ją w ciche swe objęcia bierze.

Gotów o świcie już był góral młody,
By gości lepszą przeprowadzić drogą.
Józef z Maryą rzekli, że nie mogą
Niczém nagrodzić uprzejméj gospody:
Lecz Bóg tych, którzy na bliźnich łaskawi,
Nigdy bez wielkich nagród nie zostawi.
Szedł koło śpiącéj młodzianek staruszki,
Na jéj powieki włożył dwa paluszki.
I w téjże chwili budzi się niewiasta,
A jéj zdumienie i wesele wzrasta,
Gdy się o wzroku wróconym przekona;
Głosem uwielbień chatka napełniona.
Wnet poszli w drogę, a góral na przedzie
Uszczęśliwiony rajskich gości wiedzie.

Po chwili przyszła na brzeg skał rodzina,

Skąd się rozwija sarońska dolina:
A na jéj równéj, ogromnéj przestrzeni
Mnóstwo się gajów i sadów zieleni,
I między niemi cisną się do koła
Z cudownym wdziękiem miasteczka i sioła,
W głębi się morze od wschodu czerwieni.
Święci podróżni stali zachwyceni,
Bo widok wlewał rozkosz do ich łona.
I jeszcze więcéj stąd byli weseli,
Że to nie obca lecz ojczysta strona,
Którą po długiém tułactwie ujrzeli.

Już góral młody na Saron dolinę
Spadzistą ścieżką przewiodłszy rodzinę,
Z żalem odchodził i na pożegnanie
Rzekł do młodzianka: — „Pomnij na mnie Panie.“ —
A Jezus odrzekł: — „Gdy ćwierć wieku minie
Ujrzym się znowu, lecz w strasznéj godzinie.

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

II.

Na wiosnę, kiedy trawniki zielenią się równiutko, drobno jak kobiercem z aksamitu, a jaźminy, bzy i róże, czarując oko, rozlewają woń w około, od kilku godzin siedział Teodor w ogrodzie na ławce z cygarem w ustach, a przed nim na stole porozrzucane książki i pisma: on brał jedno po drugiém, czytał, przerzucał karty, a raz po raz złożywszy cygaro, serdecznie ziewnął.

Słońce się już schylało ku zachodowi i na dobranoc tém ognistém okiem strzelało ku ziemi kochance, kiedy on się przeciągnął, oparł czoło na obu dłoniach i myślał: Co za czcze marzenia! Po co tém zapełniać grube tomy, co się w życiu nie sprawdzą — to mrzonki urojone, że człowiek poczuwa się w każdym człowieku, a ztąd i ludzkość kochać musi. Fałsz. Co mi do ludzi, którzy nie są mną? — ja nie czuję tylko siebie — jak mnie się jeść chce, to wiem, nigdy zaś, kiedy drugim. I dość długo dumał na ten temat, potém się podniósł, przeszedł parę ścieżek, a na końcu machinalnie wszedł do saloniku, gdzie zastał Julią siedzącą przy oknie i pilnie szyjącą na kanwie. Białą czapeczkę z głowy rzucił w kąt na stolik, a sam zasiadł wygodnie w fotelu na przeciw dziewczyny i wpatrywał się to w nią, to w jéj pracę obojętnie, jakby myślał o czém inném. I ona zdawała się na niego nie zważać, rachowała i szyła, jakby była samą.

Po kwadransie milczenia znać sobie przypomniał, że i ktoś drugi jest w pokoju, bo jakiś uśmiéch uprzejmości ożywił twarz jego, i zapytał:

„Kiedyż będzie ekram skończony?“

„Za kilka dni. Spieszę się, bo z nim będzie ukończony cały pokój, a pani bardzo będzie kontenta“ — odrzekła słodkim głosem, nie podnosząc wzroku od haftu.

„Ten pokój, to raj prawdziwy; bo kwiaty, zwierzęta i ludzie, wszystko stworzone ręką panny Julii.“ I przegiął się ku krosienkom i przypatrywał obrazowi dwóch Eleonór, do którego właśnie doszywała ten śliczny błękit po za Alpejskiego nieba. „Jabym się nie kochał w téj brunetce jak Tasso, wolałbym blondynkę“ — mówił tonem żartu.

„Pytanie, jakby się to skończyło“ odparła dziewczyna z uśmiechem i spojrzała na niego przyjaźnie, i widać, że już nie budził w niéj disharmonii, jak to było owego nieszczęsnego wieczora. Może przywykła tylko do jego uśmiechu i spojrzenia, a może ją też ujęło postępowanie przyjaźne, które okazywał coraz mocniéj, a jakiém z całéj rodziny nikt dotąd jéj nie obdarzył.

Lecz cóż biedny Teodor miał robić? czegoż się nie probuje na odpędzenie nud? On, którego gwar stołu ledwie pierwsze dni potrafił zająć, a potém wszystko mu było obojętném, wszystko go nudziło! A teraz siedział tyle miesięcy na wsi w życiu jednostajném, między sąsiedztwem i rodzicami — potrzeba mu więc wrażeń, gdyż choć obciął skrzydła wystygłą myślą młodzieńczéj wyobraźni, choć serce pod tą myślą jakby zlodowaciało, lecz głowa marzyła jeszcze na przekorę.

Nie gonił on już za wrażeniami, ale ich nie unikał, a teraz w braku czego innego, proste serce Julii, wyobrażenia poetyczne, owiały go nie raz wonią świeżości, jakiéj nigdy nie czuł wśród piękności salonowych. I obrachował, że takie uczucie choć chwilowe jest kapitałem duszy, bo nadając jéj polot po za sferę dotykalnego życia, upiękni ją i natchnie siłą.

Teraz, kiedy siedzieli sami, a umysł jego trzeźwiał znużony czytaniem, prowadził z dziewczyną rozmowę lekką i swobodną, jak się to od wielu tygodni prawie każdego dnia działo, gdyż z wiosną Julia najczęściéj sama siedziała przy krosienkach. Teodor lubił z nią rozmo-

wę sam na sam, bo wtedy żywo i śmiało wypowiadała swój sąd o rzeczach i odsłaniała gorące uczucie na każdą myśl ślachetną i wzniosłą, a on zaglądał w jéj duszę, jak księżyc przez czystą powierzchnię na dno jeziora. Jéj twarz zwykle blada i spokojna, w takich chwilach uniesienia jaśniała całém życiem ducha i czarowną była tą pięknością, przed którą formy ciała nikną. Teodor choć nie czuł tego sercem, ale okiem i myślą nauczył się znać piękne. Z przyjemnością więc wpatrywał się w dziewczynę promienną tym urokiem. Nie wstrzymywał téż żadnego polotu jéj duszy, owszem rzucił myśl, rozbudził uczucie, podał książkę, którąby rozmarzyła jéj młodzieńczą wyobraźnię i stroiła we wszystkie kwiaty fantazyi — a wtedy wpatrywał się w każde zadrgnięcie jéj płomiennego serca, które, nie zakryte przed nim, leżało jak niemowlę na łonie matki — i miał uczucie nowości, a tym sposobem nie jednę chwilkę nud szczęśliwie rozegnał.

Julia zaś w pierwszych tygodniach jego przybycia była z nim zimna, obojętna, zatopiona w swoich zatrudnieniach, taka, jaką ją w domu mieć chciano. Jeżeli czasami Teodor do niéj zagadał, pamiętna pierwszego wieczora, odpowiadając, nie spojrzała nawet na niego. Lecz kiedy jego słowa, osłonięte całym urokiem przychylności, dobroci, a nakoniec przyjaźni, padły na jéj serce pełne, świeże jak kwiat na wiosnę, którego listki rozwijają się pod pierwszemi promieniami słońca, nic dziwnego, że budziły w niéj uczucie jakiegoś rzewnego zaufania, które miłością nie było. Bo jak słońce nie od razu ukazuje się ziemi, lecz jutrzenka budzi kwiaty, owady i ptaki — wschód się bieli i rumieni, a szmer zmięszanéj przyrody wita kochanka ziemi — tak i miłość nim zaświeci całą jasnością w duszy, ma swój świt różany, budząc czarujące tajemnice i niepokoje w sercu. Julia tonęła w tém nowém dla siebie uczuciu, z myślą, że na dnie jego czysta przyjaźń leży.

Dzisiaj może po godzinnéj rozmowie, któréj nikt nie przerwał, usłyszeli poważny chód pani. Teodor sięgnął po gazetę i spiesznie zajął odleglejsze miejsce, a Julia szyła jak zawsze. Przybyła bez podejrzenia, spojrzała na młodą parę, zadysponowała Julii herbatę, a młodzieniec niby znużony czytaniem wyszedł na przechadzkę.

Była to chwila, kiedy słońce już się schowało za lasy, owce i bydło wracające z pastwiska słychać było w oddali, ptaszki świergocąc tuliły się w listki drzew, kwiatki nawet składały listki do snu, a człowiek tylko, ten pan natury, tém skłonniejszy do myśli i marzenia. Lecz Teodor i w takiéj chwili nie marzył. Choć się przechadzał sam jeden pod zieloném sklepieniem drzew, wśród balsamicznéj woni kwieci, chór wodnych ptaków zanucił w oddali pieśń wieczorną, a słowik gdzieś ukryty zdawał się błagać i jęczeć. Jego serce zawsze jednakowo uderzało i nie zawtórowało téj wielkiéj melodyi przyrody, myśl nie wzlatywała na złotych skrzydłach wyobraźni i nie podniosła się aż po za sfery ziemskie — i dusza nie prowadziła téj bezpośredniéj rozmowy z Bogiem, na którą słowa ludzkie nie starczą. Biedny! nigdy nawet nie stąpił na próg takiego raju! młodzieniec żył życiem starca... Przechadzał on się teraz zwolna, ręce w pobocznych kieszonkach eleganckiego latowego surduta i myślał porządnie, konsekwentnie: czy uczucie Julii dla niego jest przyjaźnią — miłością — czy tylko czystém przyzwyczajeniem? I przebiegał myślą jéj spojrzenia, wyraz twarzy i wachał się to na tę, to na ową stronę. Teodor był na podobieństwo tych sceptyków, co to nie wierzą w nieśmiertelność człowieka, a boją się ducha, bo nie wierzył w miłość, a chciał być kochanym.

Teodora przechadzka długo się przeciągnęła, gdyż już niebo posiało się gwiazdami i przedmioty ukazywały się w tém pół-świetle, co ani do dnia, ani do nocy nie należy, a on jeszcze był w ogrodzie. Lecz chłodek wieczorny i woń rozlana w około, mile głaskały jego zmysły.

Na raz ujrzał różową sukienkę Julii migającą się lekką chmurką wśród zieleni drzew, a nakoniec zniknęła w szpalerze z leszczyny. Cicho i ostrożnie zwrócił się ku téj stronie. Dziewczyna klęczała na zielonéj darni, dłonie złożone wsparła na kamiennéj ławce, a wzrok słała ku gwiazdom w rzewnéj modlitwie. W jéj postawie i wyrazie twarzy tyle uroku, że Teodor uchyliwszy gałęzie, z lubością spoglądał na nią. I pierwszy raz w życiu przypatrywał się Julii oczami młodzieńca — przebiegał jéj lica,

uśmiech, całą postać z jakiémś pomieszaniem — on, który zalotne spojrzenia pierwszych bogiń salonów przyjmował nie raz z zimnym uśmiechem. Pod tym urokiem postąpił krok naprzód i stanął przed dziewczyną. Osłupiała jego przytomnością, cała zarumieniona, porwała się z ziemi i z przelęknieniem odsunęła się od niego. Ale kiedy on stał nieporuszony i milcząc topił wzrok w jéj postawie, niewypowiedziana rzewność ścisnęła jéj serce i łzy rzęsiste puściły się po licach. Zakrywszy twarz dłońmi, wyrzekła: — „Pan mi przyszedł powiedziéć — że już nie chcesz być moim przyjacielem, bratem!“

„O nie! ja tego nie myślę,“ odrzekł Teodor, zdziwiony stanem jéj duszy. I ujął rękę dziewczyny i ścisnął po przyjacielsku. — Dłoń Julii zadrżała i już z wiedzą pierwsza iskra innego uczucia przyjaźni rozetliła się w sercu.

Młodzieniec wpatrnjąc się w lica dziewczyny, mówił:

„I zkądże miałbym chcieć zrywać tak drogi, tak miły dla mnie stósunek — zkądże ta myśl panno Julio?“

Ona wysunęła swą rękę, przestraszona własnemi słowy, które w zbytku wzruszenia była wyrzekła, kiedy głos służącego, wołający ją po imieniu, rozległ się po ogrodzie. „Pani mnie potrzebuje“ wyrzekła i spiesznie biegła ku dworowi. A Teodor prowadził ją wzrokiem, myślą. „Więc mię kocha“ i uśmiech zadowolnienia osiadł mu na ustach.

III.

W ciągu kilku miesięcy wielkie zmiany pozachodziły w murowanym dworze. Teodor czasami tu tylko bywał, bo miał oddany majątek i w nim mieszkał. Jéjmość zaś na wszystkich batystowych chustkach na gwałt kazała dziewięć punktów haftować, a jegomość wcale kwaśno list odbierał, jeżeli na adresie nie było: *Panu Hrabiemu.*

Było to może koło południa, jak nowa pani hrabina stała w sypialnym pokoju przed dużém zwierciadłem, w sukni perłowéj z ciężkiéj liońskiéj materyi, biały dyftyk zarzucony na szerokie ramiona, na głowie stroik z strusiém piórem, przepięty brylantem — a grzebień, kolie, bransoletki, wszystko z kosztownych kamieni. Z zadowoleniem przypatrywała się swemu ubiorowi, a potém poszła do stolika, gdzie stała szkatułka pełna klejnotów. Wyjęła sznur pereł i obwinęła koło ręki, na drugą zapięła bransoletkę z kameą — do stroiku przyczepiła spinkę z akwa mariną — broszów, szpilek, szpileczek nawpinała bez liku; widzi, iż więcéj kłaść nie może, bez stania się śmieszną, a tu większe pół szkatułki kosztowności! Bierze jedno po drugiém, przykłada do ręki, do szyi, do głowy, ale niepodobna.

Lecz na raz nasunęła jéj się jakaś myśl szczęśliwa, bo z ukontentowaniem i pośpiechem uchyliła drzwi do przyległego pokoju, wołając: „Julio! Julio!“ Ta wbiegła natychmiast z fartuszkiem u pasa, z pękiem kluczy w ręku.

„Ubieraj się jak najprędzéj i przyjdź tutaj.“

„Ale jeszcze nie powydawałam.“

„I tak dziś kręcić się nie będziesz, zostaniesz w pokoju! Idź się tylko spiesznie ubierać.“ Dziewczyna zdziwiona tym rozkazem, a jeszcze bardziéj myślą, iż ma siedzieć w salonie, ciekawie wpatrywała się w twarz mówiącéj, czekając rozwiązania téj zagadki. Lecz powtórnie naglona do spiesznego ubrania, szła wypełnić rozkaz. W moment splotła jasne włosy, dużą kosą uwieńczyła głowę, cały ubiór prędko wdziała, a na to wszystko suknię szamua z ciężkiego atłasu z czarną blondyną bertą. Wzięła w rękę batystową chustkę i białe rękawiczki i nie spojrzawszy nawet w zwierciadło, poszła do hrabiny, ucałowała jéj rękę, dziękując za ubiór. Ta właśnie rozkładała klejnoty na stoliku, podniosła więc na Julią oczy. „Hę! suknia jak nowa, plamy we fałdy dolne schowane, a blondynka ani znać że farbowana. Usiądź przed zwierciadłem, ubiorę cię w moje klejnoty; „ale pani, bo jeszcze zgubię!“ odrzekła przestraszona, kiedy ta już szła ze sznurem szmaragdów i zrobiła gest ręką, jakby się bronić chciała. Hrabina gniewnie wyrzekła: „Cóż to za hardość, choćbym ci kazała prostym sznurem się opasać, toś powinna. Gdyby nie ja, byłabyś gdzie kawiarką.“

Julia stała milcząca ze spuszczonym wzrokiem, a łzy, które się do oczu cisnęły, całą silną wolą popchnęła na dno serca. Na powtórny rozkaz usiadła, a hrabina przypinała i zawieszała na jéj ręce, szyję, głowę — szmaragdy, ametysty, turkusy. Zostały jeszcze dwa grube łańcuchy — cóż z niemi zrobić?! Już nigdzie nie masz miejsca myślała chwilkę i nareszcie upatrzyła, iż można niemi dziewczynę opasać.

W szkatułce już tylko kilka pierścionków i błyskotek mniejszéj wartości pozostało, a twarz rumiana hrabiny takiém szczęściem zajaśniała, jak kiedy służbista lokaj pierwszy raz użył do niéj tytułu hrabiny. Zapomniała téż całkiem gniewu na Julię i rzekła łagodnie:

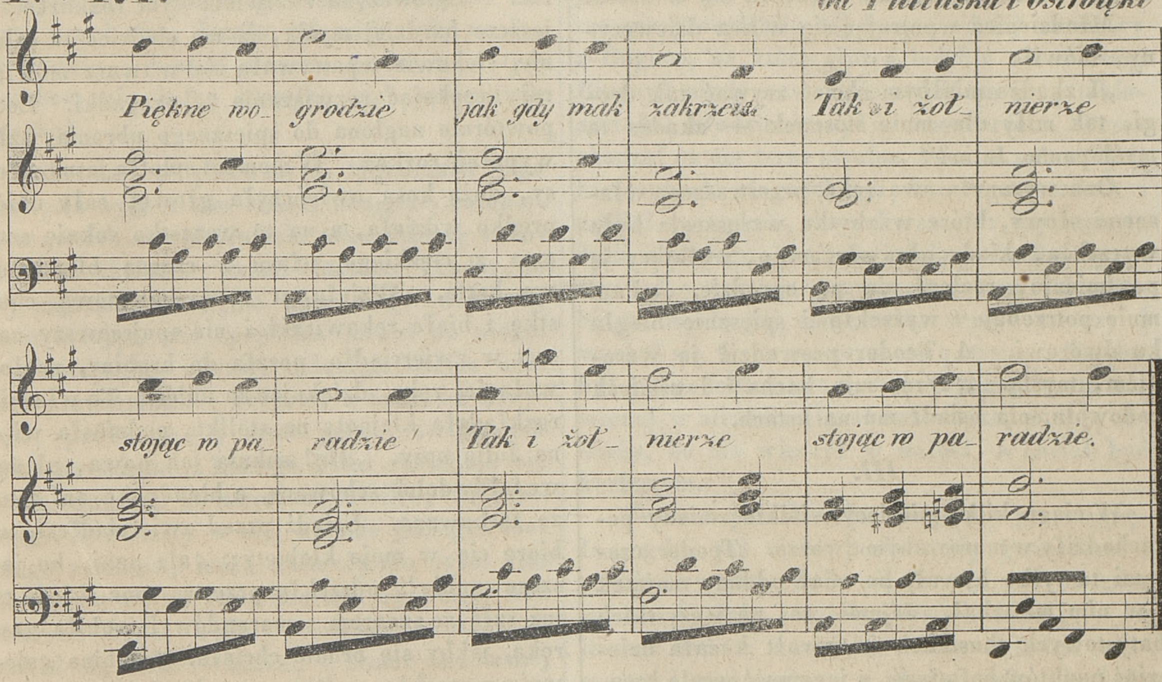
„Nie wychódź już teraz i uważaj, jakby co upadło. Chodź!“ I poważnym krokiem szła do salonu, a za nią smutna ofiara obciążona złotem. W bawialnych pokojach podwoje poroztwierane, posadzki zasłane kobiercami, pokrowce, wazony, zwierciadła poodsłaniane, w świecznikach u sufitów założone świece; jedném słowem widać, że wszystko czeka na przyjęcie licznych gości. Kilku mężczyzn już tu było, między nimi i Teodor, który prowadził rozmowę z jasnowłosym młodzieńcem, nazywając go poufale Henrykiem. Spostrzegłszy Teodor śmieszny strój Julii i jéj zakłopotanie, zmarszczył brwi i lekki rumieniec gniewu zapłonił mu lica, znać podchwycił tam myśl matki. Ale to oburzenie było przelotne, bo zwyczajny uśmiech wrócił wnet na usta. Lecz Henryk dostrzegł téj gry jego twarzy i ośmielony rzekł do niego litośnie:

„Biedne stworzenie! żeby ją twoja matka przynajmniéj z połowy tych więzów rozkuła.“ Teodor zmieszał się, iż tak łatwo odgadnięto myśl jego i chcąc ukryć swoje zakłopotanie, odparł od niechcenia: „Co to szkodzi! Każdy się domyśli, że to nie jéj własne“ — i unikając dalszéj rozmowy, pobiegł za matką, aby z nią zrobić przegląd pokoi, czy wszystko na swojém miejscu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

N° 171.

Od Pułtuska i Ostrołęki



Text do *Nru. 171.*

Pięknie w ogrodzie, jak gdy mak zakrzcie,
Tak i żołnierze stojąc w paradzie,
Boć to żołnierze nie jednéj matki,
Jak się ubiorą, jak w polu kwiatki,
Jak maszerują, tym się dziwują,
I tam im radzi, gdzie nie wstępują.

(Porównać text z J. J. Lipińskiego. P. I. W. str. 37.)

Przy końcu drugiego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu,“ upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na pierwsze półrocze roku czternastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.

Ernest Günther, *wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)